

Zołnierom

DZIAŁ KURSÓW MATURALNYCH APW

OKOS

★

Jeden z angielskich mężów stanu powiedział, że jeśli na biegun czy na pustynię zrzucić na spadochronie trzech Polaków, to napewno za kilka dni założąliby pismo; znane jest również zdanie, że gdzie zjedzie się trzech Polaków — tam powstają cztery stronnictwa; wreszcie w "Orle Białym" ukazał się artykuł o naszych kursach, zatytułowany: "Książka i karabin".

Mimowoli nasuwa się to wszystko przy wydaniu pierwszego numeru naszego "organu prasowego". Nie będziemy pisać jak powstał i kto był "sprawcą", bo to rzeczy mało interesujące. Ciekawsze będzie odpowiedzieć na pytanie — po co powstał? — Czyż po to, aby jeszcze raz wypisać różne oklepane banały i frazesy? — Nie. Koledzy, nasz dział ma nieco inny charakter, jakiego dotychczas nie posiada żadne pismo.

Jest nas przeszło pół tysiąca ludzi młodych ze wszystkich oddziałów AP.W. Jesteśmy na obczyźnie i wszyscy jesteśmy owiani jedną myślą, jedno żywimy pragnienie: chcemy jak najszybszego powrotu do Polski. Każdy jednak inaczej ją sobie wyobraża, każdy innymi oczyma ją widzi. W naszych namiotach nieraz toczyliśmy długie dyskusje i snujemy projekty o przyszłości. Są też wśród nas tacy, którzy samotnie przeżywają jakąś myśl, jakąś ideę. Niejeden także wśród nas "popelnił" już w życiu wiersz, nowelę czy napisał artykuł.

I właśnie dla tych wszystkich, którzy mają coś do powiedzenia, otwieramy nasz dział.

Nie będziemy pisali ód do młodości, nie chcemy ruszyć z posad bryły świata, ale chcemy jasno i szczerze mówić o naszym stosunku do rzeczywistości i przyszłości. Ta przyszłość — to wszystkie nasze nadzieje i niepokoje...

Już dziś musimy rozwiązać i rozstrzygnąć wiele problemów, które stają przed nami — młodymi.

I dlatego — zabieramy głos. Jesteśmy młodzieżą, która chce znaleźć swoją własną drogę. Chcemy powiedzieć co myślimy, co czujemy. We własnym piśmie chcemy zająć stanowisko wobec wszystkich zagadnień, które nas obchodzą i nas dotyczą.

Zabieramy głos!



REFLEKSJE NA MARGINESIE

W artykule "Młodzi i najmłodszy" (Orzeł Biały Nr 44) T. Pniewski poruszył kwestię stosunku najmłodszego pokolenia do pokolenia starszych oraz scharakteryzował nasze zapatrywania i poglądy. Artykuł ten jednak jest nie tylko nieścisły lecz również pomija kilka bardzo istotnych kwestyj.

Bedąc sam z pokolenia młodych, wiem o czym moi rówieśnicy myślą i czego chcą. Refleksje swe spisuję, aby z jednej strony uzupełnić artykuł p. Pniewskiego, z drugiej zaś strony sprostować niektóre zbyt pochopne sądy autora.

Na wstępie pragnę stwierdzić, że siew Września, pogiębiony przejściami w Rosji czy stosunkami w obozach węgierskich i rumuńskich, wywołał w nas reakcję krytycznego ustosunkowania się do ideałów, a równocześnie skrajną niechęć i zwątpienie w szczerść głosieli szczytnych haseł.

P. Pniewski twierdzi, że młodzi i najmłodszy — nawiasem mówiąc tego rodzaju uogólnienie uważam za niedopuszczalne — są nieufni, zwłaszcza wobec ideałów. To prawda, nieufność jednak nasza wyraża się w wartościowaniu ideałów. Dla nas np. kwestia odbudowy Rzplitej nie podlega dyskusji, a ideał ten ma wartość świętego i głęboko zakorzonego obowiązku. Wiemy, że walka o wolność Kraju nam przypadnie w udziale, stałe jednak sformułowanie tym hasłem uważamy zgoła za niepotrzebne. Nie wnosi to nic konstruktywnego, a jest nieudolną próbą dolewania do pełnego.

Wypowiadamy się też stanowczo przeciwko tworzeniu jakiegokolwiek tradycji walki o niepodległość i politycznej tradycji narodu polskiego. Obchodzenie powstań, dni buntu i zrywu narodu przy jednoczesnym wpajaniu w nas, że jesteśmy kontynuatorami walki o niepodległość naszych przodków, zdaniem młodych jest zgubne, gdyż wywołuje ducha nieufności i

niewiary we własne państwo i naród. Dlaczego co rok mamy obchodzić rocznicę powstania listopadowego, a nie Grunwaldu i Unii Lubelskiej? Obywatel, wychowany na tradycji walki z rządem zaborczy, nie jest elementem cementującym państwo, gdyż w pewnej mierze (często podświadomie) nienawidzi do rządu zaborczego przenosi na rząd własnego państwa.

Do upadku Polski w dobie rozbiorów, jak również w 1939 r., przyczyniły się — według młodych — nie tylko nasze warunki geopolityczne i zaborczość sąsiadów, ale w dużym stopniu cechy polskiego charakteru narodowego. One to nie pozwoliły na kontynuowanie polityki jagiellońskiej, co przy dążeniach ekspansyjnych państw ościennych w dalszym rozwoju historii doprowadziło do położenia geograficznego Polski z r. 1939.

Stosunek starszego pokolenia do tych zagadnień przypomina nieco politykę strusia. Trudności mówienia o rzeczach przykrych i niechęć poruszania spraw drażliwych, powoduje staranne omijanie miejsc zarazonych i stawianie przed młodzieżą odgraniczających płotków. Ba! — niektóre z narodowych przywar, np. obce memu pokoleniu wymachiwanie szabelką, znajduje z tego powodu u starszych leżkę współczucia. Nie możemy też pogodzić się ze stanowiskiem starszych, gdy chodzi o samokrytycyzm i poczucie odpowiedzialności za zajmowanie stanowisk, zwłaszcza państwowych, z tytułu osobistych kwalifikacji. Tłumaczenie: "To z gruntu porządy człowieka, chciał dobrze..." — uważamy za dziecinadę.

Zmierzając do budowy drogi naprawy, w najogólniejszych zarysach chciałoby nam o uzdrowienie stosunku obywatela do własnego państwa — bez względu na to, czy jest to wysoki dostojnik państwowy, czy najuboższy pracownik zakładu ubezpieczeń społecznych, o poszanowanie człowieka oraz pracy.

Drugie zagadnienie, które domaga się szybkiego zrealizowania, to przygotowanie wykwalifikowanych ludzi pracy z nas — młodych. Chcemy osiąść wiedzę teoretyczną i praktyczną.

Pęd do nauki jest wśród nas wielki, gdyż zdajemy sobie sprawę z naszych zaległości i z ogromu zadań, jakie na nas spadną. Świadomi jesteśmy, że w Kraju piąty już rok nie istnieje ani jedna szkoła średnia, ani jeden wyższy zakład naukowy. Chcielibyśmy więc tu na obczyźnie jak najwięcej się nauczyć, jkaj najgruntowniej wyspecjalizować.

Dążąc do naprawy stanu rzeczy w Polsce, wiemy, że mentalności starszego pokolenia nie uda się zmienić. Gdy zaś chodzi o "średniaków, młodych i najmłodszych" — to zmiana ta jest możliwa, ale nie metodami z epoki króla Ćwiczełka. Nie strach, nie krzyk, nie widmo kary i pruski dryl oraz wpajanie poczucia wyższości może kształtować psychikę w tym kierunku, ale wyrabianie poczucia odpowiedzialności i dyscypliny wewnętrznej.

Wracając do artykułu T. Pniewskiego, młodzi zdobyli się na krytycyzm, który tak przeraża autora i każe mu pisać, że "są nieufni wobec ideałów", "aspołeczni materialści." Gdyby ten nasz krytycyzm był aspołeczny, nie szukalibyśmy dróg naprawy i napewno nie dążylibyśmy do przygotowania się do pracy dla państwa. To jest realizm bez mrzonek, który nakazuje nam liczyć tylko i wyłącznie na nasze własne możliwości i siły.

W zakończeniu wypowiadamy się za ewolucją społeczną oraz rewolucją duszy i umysłu polskiego, gdyż sądzimy, iż istotnym momentem progressu może być tylko burzący wszystko powiew rewolucji mentalności o charakterze ogólnonarodowym.

Gleba jest gotowa — winny być rzucone ziarna.

podchorąży Jerzy Kin

Premiera w m.p. Dowództwa Szkół. Choć raz będzie nam dane zobaczyć premierę teatru żołnierza.

Przy kasie biletowej ścisk. Kupujemy bilety po 20 milów (kaprałom droższych nie sprzedają) i wchodzimy na najgorsze miejsca, które wyznaczono "Kursom Maturalnym". Może to tylko kontynuacja starej tradycji, bo przecież w każdym teatrze najbardziej entuzjastyczna publiczność siedziała na galerii.

Na salę wchodzi Naczelnny Wódz i wita kadetów. Kurtyna podnosi się. Dekoracja oddaje, niezbyt szczęśliwie zresztą, atmosferę mieszczańskiego domu z lat osiemdziesiątych. Więcej nic o niej powiedzieć nie można — jest przeciętna, banalna, nie wnosi nic nowego. A szkoda. Bo groteskowość salonów burżuazyjnych może być świetnym tematem dekoratorskim.

Ale wróćmy do sztuki, która tymczasem już "idzie" na dobre. Na scenie przewijają się postacie Bałuckiego, uosobione mniej lub więcej szczęśliwie przez artystów naszych czołówek. Przede wszystkim Lawiński w roli pułkownika Telesfora, jowialnego, czerstwego szlachcica polskiego — o tempora, o mores! Wielebne "Morskie Oko" warszawskie, szlachetne "Qui pro quo"! Gdy duchy

ŻOŁNIERSKI TEATR DRAMATYCZNY A. P. W.

M. Bałucki: "Dom otwarty"
komedia w 3 aktach.

wasze, obecne na premierze, ujrzały Lawińskiego w kontuszu, zarząły chyba z uciechy. Lecz co ciekawsze, Lawiński grał dobrze, nadszpiewanie dobrze, zmienił nie do poznania głos, ruchy, pozę i był jedną z najlepszych pozycji przedstawienia. Ulatwił mu to wybitnie farsowy charakter, który reżyser nadał

spokojnej i zrównoważonej komedii Bałuckiego, naruszając przez to, mocno ducha epoki. W stylu czasów Bałuckiego grali tylko Kersten (Władysław) i Krzyski (amant), odbijając od innych artystów umiarem i zrozumieniem milieu sztuki. Reszta artystów zbyt wiele starała się wydobyć z epizodów, chcać



Krzyski (Amant), Malicz (Bagatelka), Utnik (Fujarkiewicz)

szarżą i przejawieniem nadrobic brak dobrego humoru w sztuce. Scena chwilami przypominała kabaret małomiasteczkowy, w którym zasadniczą rolę odgrywają przyklepane wąsy, nosy, groteskowość ruchów. Stosunkowo najlepsze sylwetkę z szeregu groteskowych postaci wprowadzonych przez reżysera, dał Utnik w roli Fujarkiewicza. Nie będąc zwolennikiem tego rodzaju humoru teatralnego, przyznaję, że w swoim "genre" Utnik jest bardzo dobry.

Role kobiece były grane przez pp. Baczyńską, Jasińską, Grzywieńską i inne. Wspólną wadą wszystkich aktorek była zła dykcja i trzeba było natężyć słuch, by zrozumieć co mówią. Baczyńska w roli podlotka Kamili nie zadowolila. Jej podskoki, okrzyki i rzucania się na szyć, wypadały sztucznie, brak im było zupełnie umiaru i naturalności, która cechuje w sztuce Kamilę. Jasińska i Grzywieńska acz poprawne, chwilami jednak nie wygrywały pointy.

Bożyński w roli Fikalskiego wychodził ze skóry, biegał po scenie, krzyczał, "fikał nóżką", w decydującym jednak momencie (mazurek w 2 akcie) gubił się; przyznać jednak trzeba, że temperament jego wprowadzał życie w nudy dialogów.

NASZE SZKOŁY

Po czteroletniej przerwie, książka i zeszyt stały się znów naszymi codziennymi towarzyszami. Ale w jakże odmiennych warunkach. Dziś, gdy notatki pisane na kolanie zastępują nam częstokroć podręczniki, wspominamy tę szkołę, w której mieliśmy zapewnione jak najlepsze warunki rozwoju. Od tego czasu minęło cztery lata. Uczyniły one nas dojrzałymi, nauczyły cenić to, co polskie.

Wkrótce nasi następcy będą uczyć się znów w normalnych warunkach. Jaką będzie ta przyszła szkoła? — musi być jak najlepsza.

To też rzucam projekt: niech każdy z nas napisze o szkole, w której się uczył, o jej wadach i zaletach. Z wypowiedzi tych można będzie stworzyć obraz ogólny, analizujący szkołę z punktu widzenia ucznia i w płaszczyźnie jego przeżyć. Cztery lata dają dostateczną perspektywę dla oceny metod wychowawczych i wydarzeń życia szkolnego. Skłonność idealizowania przeszłości nie wpłynie ujemnie na nasz obiektywizm, gdyż przebywając w murach szkolnych, zwykleśmy jej nie doceniali. Myślę, że znajdzie się niejedna słuszna uwaga, którą warto będzie w przyszłości uwzględnić.



Gimnazjum w Rydzynie

W tym też przekonaniu zamieszczam poniższy szkic, który jest próbą analizy na podstawie własnych wspomnień.

Gimnazjum im. ks. Sułkowskich w Rydzynie (pow. Leszno woj. poznańskie) powstało z fundacji ostatniego z książąt Sułkowskich, który zapisał ordynację Rydzynską na cele oświaty narodowej. Testament jego urzeczywistniony został dopiero po odzyskaniu niepodległości.

W oparciu o fundację powstało gimnazjum, całkowicie odrębne w swej organizacji i metodach wychowawczych od przeciętnych szkół tej kategorii w Polsce. Zajmowało ono olbrzymi trzypiętrowy pałac, stanowiący zabytek architektoniczny. Duże możliwości finansowe pozwoliły znakomicie je wyposażać. Pracownie: humanistyczna (z piękną biblioteką podręczną), fizyczna, chemiczna, robót ręcznych (6 obrabiarek metalu i 4 drzewa) i inne dawały nieograniczone wprost możliwości kształcenia się w każdym kierunku. Mała ilość uczniów (około 100—120) pozwalała na indywidualne traktowanie każdego z nich. Było to bardzo ważne, gdyż obok wykształcenia za główny cel stawiano wychowanie pod całkowitym wpływem szkoły — i dlatego zastosowano ściśle zamknięty system internatowy.

Klasa była podzielona na grupę 8—10 uczniów, których wychowawcą był jeden z profesorów. Grupa taka miała swój stół w jadalni, przy którym wspólnie z wychowawcą spożywano posiłki. Co pewien czas (z okazji imienin itd.) organizowano wspólne wieczory w mieszkaniu wychowawcy, które zbliżały go do uczniów. Najcisłszy kontakt nawiązany był podczas dłuższych rozmów w cztery oczy.

Bezpośrednimi przełożonymi porządkowymi byli koledzy ze starszych klas, wyznaczani na funkcje t.zw. prefektów. Byli oni organami wykonawczymi dyżurnego nauczyciela. Między uc-

zniami panowała pewnego rodzaju hierarchia. Uczniowie sprawujący się wzorowo dostawali w trzeciej, a czasem nawet w drugiej klasie tytuł i odznakę t.zw. "Rydzyński". Po upływie przeciętnie dwóch lat "Rydzyński" awansował na "starszego Rydzyńskiego". "Starsi Rydzyńscy" mieli pewne uprawnienia, m.i. mogli posiadać pieniądze, co było surowo wzbronione młodszemu, sprawowali funkcje prefektów itp. Cieszyli się dużym autorytetem i niejednokrotnie interwencja ich w sporach między młodszymi zastępowała nauczyciela.

Kończąc szkołę, uczeń nie tracił z nią kontaktu. Znalazło to swój wyraz w odznace "byłego Rydzyńskiego", najszlachetniejszej z tych trzech. Odznaki wszystkich stopni nadawane bywały również i nauczycielom, dłuższy czas pracującym w Rydzynie. Kandydat, mający zamiar wstąpić do gimnazjum, musiał zasadniczo przejść letni obóz nad jeziorem Serwy (pojezierze Augustowski). Czas spędzał tam na sportach wodnych, wycieczkach itp. Czterotygodniowa obserwacja decydowała o przyjęciu do szkoły. Egzaminów wstępnych nie było.



Podczas lekcji na kursach maturalnych

Reżyser Radulski niewątpliwie zadał sobie wiele trudu, by z słabej i nudnej sztuki wyciągnąć jak najwięcej, zainteresować publiczność i wprowadzić trochę humoru. Zawiodło jednak wyreżyserowanie finału II aktu, kiedy sytuacja na scenie była chwilami niejasna i nieprzejrzysta. Sprawdziła się jeszcze raz znana prawda, że w dobrej sztuce i aktorzy wypadają dobrze, a w złej trudno aktorowi o możliwość popisu.

Kostiumy były tandetne, co jest zresztą zupełnie zrozumiałe.

Sztuka dobiegała końca i układałem sobie już w głowie refleksje, które miałem zamiar napisać. A więc po pierwsze o samej sztuce: że jest nudna, przewlekła, prawie zupełnie nie ma akcji, że humor jej jest dla dzisiejszego widza już niezrozumiały, i że wystawienie takiej sztuki jest anachronizmem. Specjalnie zaś akt trzeci jest niepotrzebnym i nudnym dodatkiem, przeżywaniem i ogrzewaniem i tak już nieciekawych sytuacji z aktów poprzednich.

Zaraz po przedstawieniu ruszyłem za kulisy, by porozmawiać z aktorami, zapytać się co sądzą o sztuce i dowiedzieć się dlaczego kierownictwo teatru w ogóle ją wystawiło. I tu dopiero zaczęto mi opowiadać o trudnościach, na które na-

potyka kierownictwo teatru przy wyborze sztuki, mianowicie: brak tekstów, trudności dekoracyjne (tylko jedna dekoracja na całą sztukę), konieczność wystawiania na początku sztuk łatwych (ze względu na nieobycie wielu żołnierzy z prawdziwym teatrem), mały zespół, małe sceny, trudność uzyskania rekwizytów i jeszcze tysiąc innych.

Rozpatrzmy po kolei niektóre z tych przeszkód. Gdy chodzi o istotną przeszkodę, jaką jest brak tekstów sztuk polskich — to z konieczności należy tłumaczyć dobre sztuki obce. Poza tym teatr żołnierski istnieje tak dawno, że mógł już chyba sprowadzić niektóre sztuki z Anglii i Ameryki. "Żołnierz królowej Madagaskaru", "Porwanie Sabinek", "Król włóczęgów" można by doskonale wystawić przy współudziale orkiestry jednej z czołówek rewiowych italijskich sił, jak Ignatowicz, Bogdańska, Borucki i inne, a teksty dałoby się chyba uzyskać od przybywającego w Ameryce autora. Trudno sobie w ogóle wyobrazić, by w bibliotekach w Ameryce i w Anglii nie było tekstów sztuk polskich.

Teraz sprawa dekoracji. Jeżeli jedna z kompanii transportowych na swym amatorskim ognisku może zmieniać dekoracje nawet 5 i więcej razy, inscenizować pożar miasta, stosować efekty w

rodzaju odjazdu żywego obrazu, to naszym skromnym zdaniem mogłyby to zrobić tym bardziej teatr zawodowy, którego jedynym obowiązkiem jest tylko praca teatralna. Kiedy już mowa o zawodowym teatrze wojskowym, to wydaje się słusznym, aby stosować do niego te same wymagania i zasady, jak do każdego oddziału wojskowego w zakresie jego wyszkolenia. Oddział artylerii nigdy nie może tłumaczyć swych niedociągnięć brakiem regulaminów, przyrzędów czy wygód, lecz musi dać sobie radę własnymi środkami, a strzelać celnie i dobrze. Równie dobrze i teatr żołnierski musi spełnić swe zadanie, do którego wojsko go wyznaczyło. Kierownik czołwki musi być odpowiedzialny za złe wyniki pracy, jak dowódca oddziału jest odpowiedzialnym za złe wyszkolenie swych żołnierzy.

Przejdźmy z kolei do kwestii, czy rzeczywiście poziom ogólny żołnierski jest na tyle niski, że większość nie dorosła do oglądania dobrego teatru. Być może. Wystawianie jednak komedii w rodzaju "Domu otwartego" napewno nie wychowa wdzięcznych widzów. Zresztą uważam, że dobry teatr przemawia do bywałych komedii francuskiej jak i do prostaczka, nieobytego zupełnie z teatrem.

Co do reszty trudności, to pokonanie ich w pierwszym rzędzie zależy od wkładu pracy i dobrej woli zespołu teatralnego.

Jeden z artystów rzucił mi, by żądać od teatru określonych rzeczy. — "Piszcie — mówią — co chcecie zobaczyć, piszcie jakie żądania stawiacie, wytykajcie nam nasze błędy". Przyznając słuszność memu rozmówcy, pragnę zaznaczyć, że do poprawy przyczyniłby się przede wszystkim bliższy kontakt z publicznością. Być może też, że teatr, będąc pod wpływem tylko pewnej grupy ludzi, wyrobił sobie zgoła fałszywe pojęcie o gustach i wymaganiach publiczności żołnierskiej.

Proponuję wobec tego, żeby w ramach własnych możliwości, choćby na łamach "Junaka", rozpocząć dyskusję na temat: czego żądamy od teatru? Ze swej strony na marginesie "Domu otwartego" doszedłem do skrytykowania mojego żądania pod adresem teatru:

Jeżeli potraficie dać nam prawdziwy dramat, prawdziwą komedię — dajcie! A jeżeli nie — przejdźcie lepiej na komedie współczesne, komedie muzyczne. Jeżeli nie potraficie dać nam prawdziwych wzruszeń i przeżyć — bawcie nas. Ale nie starymi komediami Bałuckiego.

podch. ROMAN BADER

Jeżeli uczeń po dwóch tygodniach wykazał odpowiedni poziom, to pozostawał w zakładzie. Uczniowie pochodzili przeważnie ze sfer inteligencji zawodowej, wyższych urzędników państwowych i ziemian. Z reguły uczyli się w zakładzie dzieci współpracowników m.in. do gimnazjum uczęszczało parę dziewcząt, córek profesorów. Poza tym było kilku stypendystów, uczących się na koszt szkoły.

Uczniowie trzymani byli w ścisłej dyscyplinie. Za przewinienia początkowo karano czyszczeniem cudzej umywalni, a najczęściej butów; za wykroczenie przeciwko dyscyplinie — karną pracą, musztrą czy sółką. Poważniejsze wykroczenia pociągały za sobą rozmowę z dyrektorem. Gdy rada pedagogiczna uznała, że uczeń nie rokuje nadziei na poprawę lub nie nadaje się do zakładu zamkniętego, zostawał bezwzględnie usunięty.

Porządek dnia ujmował młodzież w ścisłe karby. Latem pobudka o godzinie 6, zimą o 7-mej; 5 minut gimnastyki, mycie się, ubieranie i odrazu pierwsza lekcja. Śniadanie między pierwszą lekcją a drugą. Po szóstej lekcji obiad, a po tym 1,5 godziny zabaw i sportu (z wyjątkiem niedziel i środy). Po ćwiczeniach podwieczorek, a następnie nauka własna do kolacji. Po kolacji czas wolny. W czasie nauki własnej uczeń obowiązany był znajdować się w klasie. Po odrobieniu lekcji mógł pisać listy, czytać książki lub oddawać się pracy indywidualnej.

Praca indywidualna otoczona była szczególną opieką. Uczeń, zależnie od upodobań, zajmował się chemią, botaniką czy przedmiotami humanistycznymi w ramach odpowiedniego kółka, kierowanego przez profesora danego przedmiotu. Co pewien czas wygłaszane były referaty, na które licznie uchodzili się uczniowie nie należący do kółka, a nawet profesorscy; dyrektor np. z reguły bywał na referatach z zakresu fizyki i chemii. Ciekawe prace ogłaszane były w czasopiśmie uczniowskim "Rydzyniak". Było one redagowane przez uczniów i zamieszczały utwory literackie, niejednokrotnie stojące na bardzo wysokim poziomie, kronikę szkoły, artykuły dotyczące zagadnień bieżących itd.

Warunki więc do kształcenia były idealne. Nie zapomniano jednak i o rozwoju fizycznym. Dwie godziny gier i sportu, poza normalną gimnastyką lekcyjną, dawały odprężenie po intensywnej pracy umysłowej i zapewniały rozwój fizyczny. To też osiągnięcia Rydzyny

w dziedzinie lekkiej atletyki odbiegały daleko od przeciętnych osiągnięć innych szkół. Dorocznym świętem sportowym były 3-dniowe zawody Rydzyna—Liceum Krzemienieckie, obejmujące wszystkie konkurencje lekkiej atletyki. Zawody te z reguły wygrywała Rydzyna, co rok jednak w niższym stosunku. Zawody zamykały rok szkolny, który kończył się z ostatnim dniem maja. Pierwsza połowa czerwca upływała na obowiązkowych wycieczkach pieszych czy wodnych, których sieć pokrywała całą Polskę. Do piero po wycieczkach rozpoczynały się właściwe wakacje.

Strz. JERZY MIERZWIŃSKI

OLTARZ EMIGRACJI

*Na dworze pod ścianą
oltarz zapomniany
stoi cały tydzień.
Wicher szarpie włoski
smutnej Matki Boskiej,
śmieje się i szydzi.
Poschnięte kwiaty
poruszone wiatrem
szeleszcza, szeleszcza,
a jej oczy duże
przyprószone kurzem
bolesne, bolesne...*

*Jezusek nieboże
za ludzi się wstydzi:
stoi oltarz na dworze
przez cały tydzień.
W niedzielę wspaniale
wniosą oltarz do sali,
ustroją kwiatami.
Potem na kolanach
chcą przebłagać Pana:
"Zmiłuj się nad nami!"*

*Rozmodlonym rymem
i w każdą niedzielę
zanoszą błaganie,
patetycznie, żebraczo
poproszą tulaczce:
"Racz nam wrócić Panie!"*

*Jutro się zawstydzi
Jezusek nieboże,
że oltarz przez tydzień
stać będzie na dworze.*

Naszukiwany tu obraz szkoły, dość zresztą ogólny, daje jednak pojęcie o jej charakterze. Nie będę się zajmował kwestią celowości takiej czy innej metody wychowania, ale kwestią celowości tego rodzaju zakładu.

Zwraca przede wszystkim uwagę, że środki materialne, dające idealne warunki 100 wybrancom, normalnie były wystarczające dla kilkakrotnie większej ilości uczniów. W okresie, gdy wszystkie szkoły w Polsce były przepelnione i dla wielu nie starczało miejsca, nie było to rzeczą błahą.

Niewątpliwie również fakt wychowywania w ciepłarnianych warunkach młodzieży pochodzącej w olbrzymiej większości ze sfer zamożnych, stwarza atmosferę uprzywilejowania.

Uczniowie zamknięci w ramach szkoły żyją w ścisłym gronie, ograniczającym się często do klasy czy nawet jeszcze drobniejszych grup. W rezultacie zamiast szerokiego współżycia młodzieży — tworzy się kastowość. Konkurencja na boisku sportowym bynajmniej jej nie zatrze, a raczej pogłębi. By do tego nie dopuścić, potrzebne są zawsze podstawy do współżycia młodzieży. W zakładzie tego typu nie ma miejsca na związki ogólnomłodzieżowe (w Rydzynie nie było np. organizacji harcerskiej). Kółko społeczne, skupiające młodzież izolowaną od świata zewnętrznego, nie mogło dać odpowiedniego wyrobienia nielicznym zresztą jednostkom, mającym zainteresowanie w tym kierunku.

Czyżby więc szkoła taka była szkodliwa?

Myszę — że nie. Kwestię pierwszą moim zdaniem — można rozstrzygnąć i w ten sposób, że tych "100" ma być w przyszłości pod każdym względem elitą intelektualną. Wtedy żadne wydatki na ich wychowanie nie będą zmarnowane. Poto jednak, by móc wychować taką elitę, potrzebny jest następujący warunek: kryteriami w doborze uczniów winny być jedynie i wyłącznie ich zdolności i możliwości, które rokuja nadzieję na przyszłość, żadne natomiast inne względy nie mogą być brane pod uwagę.

Podstawy moralne, które szkoła taka niewątpliwie daje, będą dla zdrowej jednostki oparciem, na którym, po wyjściu ze środowiska zamkniętego, potrafi ułożyć i rozbudować swoje współżycie z ludźmi.

strz. J. Terajewicz.

N A S I M E N T O R Z Y

SERIA I



rys. podeborąży Tadeusz Wojnarski